



Jestem z miasta

Z Pawłem Kosickim, poznańskim fotografem, członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików – rozmawia Krzysztof Szymoniak

– Na tę rozmowę umówiliśmy się w twoim poznańskim mieszkaniu, a nagrywamy ją w pracowni wypełnionej, najogólniej sprawę ujmując, narzędziami oraz efektami twojej pracy. Jest więc 28 września 2009 roku, za oknem ciche blokowisko i przedpołudniowe światło wczesnej jesieni. Tu, gdzie przyszło nam się spotkać, otaczają nas przedmioty, które niemal od razu wprowadzają przybysza w świat fotografa profesjonalisty. Takim dobrze poukładanym zawodowcem jesteś od zawsze?

– Fotografiją zainteresowałem się pod koniec szkoły podstawowej. Tata pomagał mi przekształcić łazienkę w przydomową ciemnię, wujek Czesław – profesjonalny fotograf rzemieślnik, uczył mnie warsztatu, a mój dziadek Bolesław, człowiek wrażliwy, artysta duchem, który również fotografował, uczył mnie patrzeć na świat. To dzięki nim posługiwanie się aparatem dosyć szybko zacząłem postrzegać jako coś oczywistego. Chyba z okazji Pierwszej Komunii dostałem aparat Ami 66. Przez lata przeszedłem długą drogę w budowaniu własnej fotograficznej świadomości. Po drodze próbowałem również zmierzyć się z filmem – moją młodzieńczą miłością. Kupiłem kamerę i zająłem się OFF-em. Kino wymagało jednak wspólnej pracy wielu ludzi, a ja zawsze chodziłem własnymi drogami. Podjąłem wówczas decyzję, że do końca życia oddam się temu co kocham najbardziej, czyli fotografii.

– **Ile miałeś wtedy lat?**

– Trzydzieści i trochę.

– **Sięgnijmy zatem raz jeszcze do korzeni. Skąd pochodzisz?**

– Urodziłem się w Poznaniu i tu wychowałem w dzielnicy odległej od centrum, w Naramowicach.

– **Jako młody chłopak miałeś zapewne jakieś męskie zainteresowania, typu sport czy modelarstwo?**

– Od najmłodszych lat uprawiałem sport wyczynowo. Grałem w hokeja na lodzie. Po latach wyrzeczeń i kulturalnej separacji pewnego dnia, zamiast na trening poszedłem do kina i wtedy mnie olśniło. Zrozumiałem, że istnieje jeszcze inny świat poza lodowiskiem, że w życiu można robić tak wiele innych rzeczy. Postanowiłem zakończyć swe sportowe zmagania. Pokochałem kino. Niemal każdy piątek spędzałem w kinie wraz z moim kolegą Grzegorzem Błaszakiem. Chodziliśmy w tamte piątki na wagary, na trzy seanse jeden po drugim.

– **Co robiłeś po maturze? Wojsko, studia?**

– Film rozbudził we mnie marzenia o podróżach, zacząłem więc studiować turystykę i rekreację na poznańskim AWF-ie. Chciałem zobaczyć na własne oczy te wszystkie miejsca, które widziałem w kinie, pomyślałem więc, że jako dyplomowany przewodnik mam na to jakąś szansę. Studiowałem, studiowałem, ale noga mi się powinę-



ła. Pod koniec lat 80. musiałem pożegnać się z uczelnią, a w kilka tygodni później byłem już w wojsku. Mocno to przeżyłem. Był to rodzaj traumy, bo nagle ktoś ograniczył moją wolność. Ponieważ miałem średnie wykształcenie, trafiłem do Mrągowa, do szkoły podoficerskiej w wojskach łączności. Zostałem kapralem, dowódcą drużyny i wozu bojowego pełnego nowoczesnych radiostacji. W ostateczności los podarował mi różne armijne przygody. Pierwsza z nich była przygodą sportową. Ponieważ byłem sprawny fizycznie i miałem niezłe wyniki jako sprinter lekkoatleta, zostałem wcielony do jednostki sportowej w Oleśnicy, gdzie przygotowywałem się do spartakiady wojskowej. Tam przez pół roku z kilkunastoma innymi wyczynowcami tylko biegałem. To było, jak na ówczesne standardy służby zasadniczej, życie dosyć wygodne. Zdarzało się, że przewozili nas z miejsca na miejsce małym odrzutowym samolotem Jak-40, który przypomina dzisiejsze samoloty dyspozycyjne. Po zakończeniu spartakiady trafiłem prosto do jednostki bojowej i wtedy „żarty się skończyły”. Zimowe poligony, nocne manewry, rzuty granatem, ogólnie klimat przypominający klasyczne kino wojenne.

– A fotografia w tym czasie leżała odłogiem?

– Nie całkiem. Udało mi się przemycić do jednostki moją Praktykę. Fotografowałem nocne życie jednostki wojskowej pod koniec lat 80. Chyba nikt wtedy nie dokumentował tego świata z pozycji żołnierza służby zasadniczej.

– Z tych negatywów nigdy wcześniej nie powstały odbitki?

– Nie powstały do dnia dzisiejszego. Po wyjściu z armii tamte filmy tylko wywołałem i schowałem głęboko do szuflady. Chciałem zapomnieć i szybko odreagować

te dwa lata w kamaszach. Związałem się na chwilę z tygodnikiem „Wprost”, a niedługo potem wyjechałem do Londynu, gdzie spędziłem kolejne kilkanaście miesięcy.

– Z tego wynika, że poszedłeś do wojska w PRL-u, a wróciłeś do cywila już jako rezerwista RP. Coś ci utkwiło w pamięci z tamtych czasów przełomu ustrojowego?

– Szczególnie dobrze pamiętam pierwsze wolne wybory z 4 czerwca 1989 roku. Wracając z przepustek, przywoziłem do jednostki różne solidarnościowe ulotki, a oficerowie polityczni natychmiast je likwidowali i przy każdej możliwej okazji oczerniali kandydatów „Solidarności” do Sejmu. Pamiętam do dzisiaj spotkanie przedwyborcze z kandydatem z ramienia PZPR – Markiem Królem – redaktorem naczelnym tygodnika „Wprost”. Nawoływał wtedy do bojkotowania ludzi z obozu solidarnościowego, których popierał Lech Wałęsa. Ostatecznie Król został posłem, a ja, po wyjściu z wojska, fotoreporterem w jego tygodniku, takim współpracującym z gazetą wolnym strzelcem. Kilka tygodni później ten sam Marek Król, już jako poseł na Sejm, wręczył mi osobiście w gmachu przy ulicy Wiejskiej akredytację dla fotoreporterów sejmowych.

– Jak do tego doszło?

– Sam zapukałem do ich drzwi. A konkretnie włożyłem moje zdjęcia do koperty i wysłałem. Tydzień później otrzymałem list i zaproszenie do redakcji. I tak, przez kolejne kilka miesięcy współpracowałem z tygodnikiem „Wprost” jako fotoreporter. Była to już poważna sprawa, szły za tym pierwsze prasowe publikacje moich zdjęć.

– Potem wyjechałeś do Anglii. Co cię tam gnało?



– Chciałem poznawać świat, zarobić też jakieś pieniądze, żyć inaczej, coś sensownego zrobić ze swoją dorosłością. O powrocie na studia nie było wówczas mowy. Nadarzyła się okazja, bo mój przyjaciel, który miał w Anglii rodzinę, zapraszał, a ja miałem dziennikarską akredytację sejmową, która ułatwiła mi uzyskanie wizy wjazdowej. Oficerowi emigracyjnemu w ambasadzie powiedziałem, że jadę tam fotografować Polaków pracujących na czarno.

– I fotografowałeś?

– Sam zacząłem pracować na czarno, fotografować jednak nie przestałem. Zmontowałem sobie nawet małą ciemnię, gdzie na bieżąco wywoływałem wszystkie naświetlone negatywy. Kupiony wtedy stary koreks patersona używam do dziś.

– Jak było w Anglii?

– Na początku było przyjemnie. Przez pierwsze pół roku pracowałem, a za zarobione pieniądze podróżowałem i przesiadywałem w londyńskich pubach. Szybko też sprzedawałem stare aparaty i kupiłem nowe, japońskie. Udało mi się złapać kontakt z tamtejszą organizacją „Medical Aid for Poland”, która działała od czasów stanu wojennego. Jeździliśmy z moim przyjacielem Krzysztofem ciężarówkami po całej Anglii i zbieraliśmy dary, które potem trafiały do Polski. Dzięki temu poznałem wielu Polaków – emigrantów z czasów II Wojny Światowej. Wspominam tych ludzi niezwykle ciepło. Bardzo nam pomogli i wiele nauczyli.

– Wróciłeś na ojczyznę łono w roku 1992. Po co, jeżeli można spytać? Wielu, podobnych tobie młodych ludzi urządzało tam sobie swoje nowe życie. A ty?

– Mój pobyt tam stał się nielegalny. Skończyła mi się wiza, groziła mi deportacja, poza tym w Poznaniu czekała na mnie dziewczyna.

– Wróciłeś z jakims konkretnym pomysłem na życie?

– Pomysł był jeden: chciałem zajmować się fotografią.

– Przywiozłeś z Anglii jakieś pieniądze na rozpoczęcie własnej działalności?

– Jedyne, co przywiozłem z Anglii, to dwa aparaty i kilka obiektywów.

– A co z negatywami, które powstały na wyspach?

– Wszedłem na tydzień do ciemni, wywołane fotografie włożyłem do teczki i zabrałem do Łodzi na egzamin do Łódzkiej Szkoły Filmowej. Na pierwszym etapie pokażałem swoje prace, które oceniono bardzo pozytywnie. Drugim etapem była rozmowa kwalifikacyjna, na której poległem. Trudno mi było rozmawiać o fotografii, zabrakło mi edukacji w tym zakresie. Fotografowałem intuicyjnie, nie miałem wtedy narzędzi intelektualnych, aby na przyzwoitym poziomie snuć refleksje w obrębie historii, teorii, estetyki czy filozofii fotografii. No i nie przyjęli mnie.

– Mocno to przeżyłeś?

– Na tyle mocno, że przez dwa lata w ogóle nie robiłem zdjęć.

– A gdyby cię wówczas przyjęli do łódzkiej filmówki, to co to mogło zmienić w twoim życiu fotografa samouka?



– Przede wszystkim mogło przyspieszyć moją edukację fotograficzną. Do tego wszystkiego, co mogłem wynieść ze szkoły, musiałem z konieczności dochodzić sam, długo i mozolnie.

– Jesteśmy w połowie lat 90. Co ci zostało w pamięci z tamtych czasów?

– W 1996 roku urodził mi się syn i to było zdecydowanie najważniejsze wydarzenie z tamtych lat. Potem, cóż, pochłonęło mnie życie. Fotograficznie, poza kilkoma epizodami, był to raczej okres stagnacji. Zająłem się wtedy grafiką komputerową. Minęło kilka lat za nim ponownie wziąłem aparat do ręki. Pamiętam do dziś ten dzień. Spacerowałem w środku zimy po plażach Gran Canarii i tam, z dala od tak zwanej rzeczywistości, zrozumiałem, że życie, które prowadziłem dotychczas, nie jest dla mnie. To był chyba przełomowy moment. Zacząłem na powrót fotografować. Po raz pierwszy nic nie musiałem.

– A jak z tamtych czasów pamiętasz i wspominasz środowisko poznańskich fotografów?

– W tamtych czasach, kiedy nie istniał Internet, środowiska skupione wokół ZPAF czy Towarzystwa Fotograficznego były jakby odizolowane od świata. To była zła praktyka. Niewielu znałem wtedy fotografów. Dziś młodzi twórcy sami tworzą nieformalne grupy, często dużo lepiej zorganizowane i bardziej aktywne niż stowarzyszenia posiadające wieloletnią tradycję. Internet z pewnością bardzo to ułatwia.

– A jakieś twoje wystawy z końca XX wieku?

– Ja wtedy nie wystawiałem swoich prac. Jeżeli już fotografowałem, to raczej do szuflady, albo publikowałem zdjęcia w prasie. Jeżeli miałem jakieś wartościowe kadry,

to wysyłałem je do gazet i one tam się czasem ukazywały.

– Miałeś wtedy w Poznaniu jakiegoś mistrza, mentora, na którym mogłeś się wzorować?

– Nie miałem. Moimi mistrzami byli wielcy fotografowie ulicy: Henri Cartier-Bresson, André Kertész czy Elliot Erwit. Chłonałem ich prace na wystawach, godzinami oglądałem albumy, które zresztą kolekcjonuję do dziś.

– Nadal jesteśmy w Poznaniu. Masz rodzinę, obowiązki, pracę, ale w głębi duszy jesteś wrażliwym, fotografującym artystą. Czy żona rozumiała twoje pasje?

– Żona zawsze wspierała moje działania. Przede wszystkim nie ograniczała mnie, rozumiała, że mam swoją pasję, że muszę się realizować. Zawsze wiele na ten temat rozmawialiśmy, wspólnie oglądaliśmy albumy, razem chodziliśmy na wystawy i tak pozostało do dzisiaj. Ta wspólnota myśli i ducha bierze się poniekąd z faktu, że moja żona kiedyś także fotografowała.

– Kiedy dopadały cię chwile zwątpienia, twoja żona motywowała cię do pracy? Mówiła: rób zdjęcia?

– Tak właśnie było. Dzisiaj moja żona bywa dodatkowo edytorem moich zdjęć. Potrafi spojrzeć na nie z dystansem, bez emocji.

– Jak w twoim przypadku przebiegał proces kryształowania się twoich poglądów na fotografię, proces stawania się w pełni świadomym swoich celów fotografem o zacięciu artystycznym?

– Najpierw zderzyłem się z klasykami, to pod ich wpły-



wem zacząłem inaczej patrzeć na to, co robię. Na początku, mniej lub bardziej świadomie, naśladowałem ich, w końcu poszukałem własnej drogi.

– Brałeś wtedy udział w konkursach fotograficznych?

– Konkursy odegrały w moim fotograficznym życiu bardzo ważną rolę. Po łódzkiej porażce ponownie pozwoliły mi uwierzyć, że mam coś do powiedzenia i że jest to wartościowe. Otrzymałem wiele nagród w Polsce, kilka za granicą. Pozwoliły mi one dalej się rozwijać, wzmocniły mnie wewnętrznie. Dzięki olbrzymiej pomocy mojego przyjaciela Witolda Flaka, znakomitego fotografa, zacząłem jeździć na warsztaty za granicę, ucząc się od najlepszych. Pamiętam jak drżały mi kolana, kiedy w rzymskiej kawiarence popijałem kawę rozmawiając o moich (!) fotografiach z Davidem Allanem Harvey'em, słynnym fotografem z agencji Magnum. To było jak dotknięcie nieba. Miałem później okazję spotkać innych z Magnum na swej drodze, na przykład Alexa Majoli, Thomasa Dworzaka czy Paolo Pellegrina, jednak tego pierwszego razu nigdy nie zapomnę. Później była jeszcze Warszawska Szkoła Filmowa, stypendium na Wydziale Fotografii – kolejna nagroda, która pchnęła mnie do przodu. Dziś nie biorę udziału w konkursach fotograficznych, za to ostatnio zaproszono mnie do jury kilku z nich. To niezwykle doświadczenie znaleźć się pod drugiej stronie.

– Dzisiaj jesteś człowiekiem kilku profesji, a wszystkie one krążą wokół fotografii. Zastanawiam się, czy czujesz się dobrze z tym, co robisz i jak to robisz, tu i teraz?

– I tak, i nie. Dobrze jest, gdy można zajmować się fotografią dla czystej przyjemności. Staram się nie ulegać

zanadto fotografii komercyjnej, by nie zgubić tego, co jest dla mnie najważniejsze.

– Gdy mówiłem o różnych twoich profesjach, miałem na myśli także i to, że masz talent pedagogiczny, który doskonale objawia się na wszelkiego typu prowadzonych przez siebie plenerach i warsztatach fotograficznych. Pewnie lubisz to zajęcie.

– Plenery i warsztaty to moje prawdziwe oczko w głowie.

– Ujawnijmy więc i ten fakt, że jesteś także organizatorem życia fotograficznego.

– Staram się jak mogę. Organizuję z Kasią (moją Żoną) plenery oraz warsztaty. Na plenery zapraszam fotografów z całej Polski. Z niektórymi się przyjaźnię, innych nie znam w ogóle. Wyszukuję ich w sieci, oglądam prace, piszę do nich a oni przyjeżdżają. Potem, przy kominiku i butelce wina, czerpiemy radość z takich spotkań. Cieszę się, kiedy później dowiaduję się, że spotkania te mają dalszy ciąg już poza mną. Organizacja warsztatów jest już bardziej skomplikowana. Zdarza się, że bywam zapraszany przez organizatora, zazwyczaj przez Dom Kultury czy inną placówkę kulturalną i to jest idealna sytuacja. Czasem jednak wszystko organizuję sam. Zważywszy dzisiejsze wymagania oraz możliwości młodych ludzi, rynkowe ceny wynajmu lokali, organizowanie posiłków, całą tą logistykę, trudno mi konkurować z przedsięwzięciami organizowanymi przez instytucje. Tak więc w przypadku warsztatów coraz częściej bywam gościem niż organizatorem. Mam nadzieję, że instytucjonalni animatorzy jeszcze długo będą o mnie pamiętać. Przyznaję, że uwielbiam pracować z młodymi ludźmi. Dają mi energię i świeżość patrzenia. Ja w zamian dzielę się moim doświadczeniem i poczuciem humoru.



– Jak szybko, twoim zdaniem, można fotografujących amatorów wprowadzić w krąg podstaw samoświadomości i sprawności warsztatowej?

– Warsztatu nauczyć łatwo. Już po kilku spotkaniach widać, jak szybko amatorzy robią postępy. Opór materii przychodzi nieco później, kiedy następne kroki wymagają od uczestnika większego zaangażowania, większego wysiłku, żmudnych poszukiwań i cierpliwości. Budowanie świadomości to już zupełnie odrębna kwestia.

– Ale tak jest chyba ze wszystkim, co wymaga intelektualnego wysiłku, treningu i ćwiczeń, poczynając od języków obcych i gry w szachy, a skończywszy na różnych dziedzinach ekspresji artystycznej.

– No tak. Znam to z własnego doświadczenia. Wiem, że gdy się jest dojrzałym twórcą, to o kolejny krok w rozwoju jest niezwykle trudno.

– Najbliższe twoje plany plenerowe.

– Za chwilę w grupie kilku fotografów jedziemy do Paryża odwiedzić doroczne Paris Photo. Jest to największa i najbardziej znana na świecie impreza prezentująca świat galerii fotograficznych. Targi te przypominają olbrzymią wystawę, gdzie w przestrzeniach Carrousel du Louvre, zobaczyć można tysiące najróżniejszych obrazów, w tym wiele znanych ikon, które przeszły do historii fotografii. Wszystkie pokazywane tam prace są fotografiami wystawionymi na sprzedaż. Niewątpliwie atrakcją tegorocznego spotkania będzie prezentacja dorobku zupełnie nieznanego twórczości fotografów z Iranu. Niezmiernie ciekaw jestem, jak patrzą na świat ludzie mieszkający tam, daleko za islamską kurtyną.

W marcu wybieramy się na coroczny plener do Wenecji, w planie jest też spotkanie w Lizbonie. Wielokrotnie

jeździłem fotografować to cudowne miasto i bardzo chciałbym zaprosić tam innych fotografów. Na pewno odbędzie się też moje ulubione, wiosenne spotkanie w Ustce, które nazwałem „12 Fotografów”. Tytuł z nas może zamieszkać w dwóch cudownie położonych przy plaży domach.

– Weźmy przykład pleneru w Wenecji. Dlaczego Wenecja?

– Od Wenecji jestem uzależniony. To bez wątpienia miłość od pierwszego wejrzenia. Jeżdżę tam rok rocznie, a kiedy nie mogę, bardzo tęsknię. To miasto jest prawdziwym wyzwaniem dla fotografa. Jest wyjątkowe, całkowicie inne od wszystkich innych, łatwo tam popaść w banał. Jeżeli tam potrafisz „opowiadać” własnym fotograficznym językiem, to znak, że jesteś dobry.

– W tym momencie wkraczamy w zagadnienie, o którym zresztą pisałeś na swoim, zamkniętym już, blogu „STOP THE MOMENT”. Wszyscy mają dostęp do sprzętu cyfrowego, więc wszyscy są fotografami. Wypowiada się na ten temat wielu badaczy, krytyków i recenzentów ze świata fotografii. Jest to w sumie szczęście, czy jest to rodzaj umasowionego nieszczęścia? Fotografia coś na tym traci, czy raczej zyskuje? Co na ten temat sądzi Paweł Kosicki?

– Patrzę na to w ten sposób, że skoro mnóstwo ludzi chwyta za aparaty, to także dużo więcej ludzi odkrywa świat i jego piękno. Część z nich zacznie się fotografią interesować, zacznie doskonalić swoje umiejętności i z czasem niektórzy osiągną „wyższy poziom wtajemniczenia”. A to bardzo optymistyczna wizja przyszłości. Sto lat temu na fotografowanie mogli sobie pozwolić tylko ludzie wywodzący się z zamożnych domów. Tylko oni mogli się oddawać tej niezwykle drogiej na owe czasy



pasji bez oglądania się na koszty. Dzisiaj wielu znanych fotografów wywodzi się z nizin społecznych, co jest o tyle interesujące, że patrzą oni na rzeczywistość z innej perspektywy.

– A te inne światy, to przecież także różne, socjologizujące eksperymenty fotograficzne, które polegają, na przykład, na rozdawaniu dzieciom tanich cyfrówek i zapraszaniu do wspólnej zabawy w fotografowanie. Efekty tego typu eksperymentów do dzisiaj można oglądać w różnych albumach i wydawnictwach, niekiedy bardzo interesujących.

– Taki zabieg zastosowano i zarejestrowano w filmie „Przeznaczone do burdelu”. Eksperyment, odbył się w Kalkucie. Polegał na tym, że w dzielnicy czerwonych latarni, gdzie zamieszkują lokalne kurtyzany wraz ze swoimi rodzinami, dzieciom rozdano aparaty fotograficzne. One uwieczniły świat dotychczas niewidzialny, do którego wcześniej nie miał dostępu żaden profesjonalny fotograf. Na te dzieci biegające z aparatami nikt nie zwracał uwagi, one przynależały do tego miejsca. Powstały wtedy niezwykle obrazy, które można było oglądać na wielkiej wystawie zorganizowanej przez fundację World Press Photo.

– Masz jakieś opory wobec tego typu pomysłów.

– Nie. Jestem przekonany, że w przyszłości takich realizacji będzie więcej. Sam chętnie bym w nich uczestniczył. Świat wraz z fotografią podąża do przodu, czy nam się to podoba czy nie.

– Pojawia się tu chyba także pewien element, nazwijmy to tak, terapeutyczny. Przed erą cyfrową po świecie chodziło tysiące nadwrażliwców, czy osobników zwyczajnie wrażliwych, którzy nie

mieli żadnej szansy na wykreowanie jakiegokolwiek wartości estetycznej, nie mówiąc już o wartościach artystycznych. A dzisiaj fotografia stwarza im takie możliwości.

– Fotografia rzeczywiście stwarza tę szansę, bo jest powszechnie dostępna. Ale też każdy ma prawo wziąć do ręki długopis i próbować coś napisać. Dawniej, między „napisać” a „opublikować” istniała nieprzebyta przepaść. Dzisiaj ta przepaść już nie istnieje. Wszystko to dzięki Internetowi. W sieci znajduje się tysiące opowieści, esejów, wierszy, blogów, reportaży. Internet sprawił, że każdy może publikować swoje prace. I wielu z tego korzysta, co, jak sądzę, w żaden sposób nie osłabia pozycji prawdziwych pisarzy, poetów czy fotografów, a wręcz przeciwnie. Może się bowiem okazać, że w tym zalewie spontanicznej twórczości literackiej trafi się jakiś autentyczny talent. Podobnie jest z fotografią. To medium dzięki globalnej sieci doświadczyło chyba największej rewolucji w zakresie możliwości autoekspresji.

– Tu zahaczamy o pewną ważną kwestię, która na pewno dotyczy fotografii, a która ma związek z podziałem aktywności fotograficznej na sztukę i rzemiosło.

– Niewielu fotografów ma szczęście posiadać pełną swobodę realizowania swoich projektów. Większość pracuje pod dyktando klienta. Moim zdaniem to „zabija ducha”. Dopada ich frustracja, syndrom niespełnionego artysty. Dziś wykształciła się nowa grupa – artyści amatorzy. Ludzie wolnych zawodów, całkowicie niezależni, realizują się w działalności artystycznej i to często na bardzo wysokim poziomie. Widać to potem na renomowanych międzynarodowych konkursach fotograficznych. Autorzy ci są najbardziej kreatywni. Oni po prostu mają wolne umysły.



– Wracając do tego, co robisz ty, jako fotograf, warto zapytać, jak Paweł Kosicki wyraża się poprzez sztukę. Przyczynki do tej diagnozy rozproszone są w historii twojego życia, w twojej drodze dojścia do własnej dykcji artystycznej, wreszcie na twoim byłym blogu, gdzie znalazłem wiele ciekawych i godnych uwagi przemyśleń, refleksji oraz zdjęć, których, jak sam twierdzisz, gdzie indziej nie pokazujesz. Jesteś więc artystą we własnym odczuciu, czy nie?

– Ja nie odczuwam potrzeby takiego definiowania swojej kondycji w obrębie fotografii. I nie potrafię o sobie powiedzieć, czy jestem artystą. Na pewno jestem człowiekiem wrażliwym. Ci, którzy uważają, że mam zadatki na artystę, zaprosili mnie do Polskiego Związku Artystów Fotografików. Ważniejsza od tytułu „artysta fotografik” jest dla mnie świadomość, że fotografia, obok mojej rodziny, jest dla mnie esencją życia, jest moim powietrzem. O fotografii myślę niemal bez przerwy, a kwestia bycia artystą jest dla mnie sprawą drugorzędą.

– Może się jednak zdarzyć, że krytycy i badacze zaczną się tobie przyglądać, zaczną cię analizować, wpisywać w jakieś nurty na mapie dziejów fotografii.

– Już to robią. Wpisują mnie na przykład w nurt klasyków francuskich, co odbieram jako komplement, z drugiej strony przyznam, że nie ma to dla mnie aż tak wielkiego znaczenia. Mam świadomość, że każdy, kto się publicznie „wypowiada”, musi się liczyć z faktem, że będzie oceniany, a to bywa czasem nieprzyjemne. Nic na to nie poradzę. Najważniejsze to podążać własną drogą, wypracować własny styl.

– I tobie to się udaje?

– Wiele osób przyznaje, że w moich fotografiach widać odcisk mojej osobowości. Taka opinia bardzo mi schlebia. Mam nadzieję, że podobnie będzie również w przyszłości, tym bardziej, że podążam teraz zupełnie inną drogą.

– Rozumiem, że nie chcesz być postrzegany wyłącznie jako mistrz fotografii czarno-białej. Chcesz wzbogacić swoją paletę.

– Obawiam się, że długo jeszcze będę postrzegany jako autor czystych formalnie fotografii, zakorzenionych w ulicznej klasycie. Prawda natomiast jest taka, że dziś jestem innym człowiekiem, zmieniłem się wewnętrznie i chciałbym o tym opowiedzieć posługując się fotografią. I choć to niebezpieczne opuścić wydeptaną ścieżkę, ja chcę spróbować. Widzę już inne obrazy, mam w głowie nowe projekty, nad którymi pracuję i które chciałbym zakończyć w ciągu roku czy dwóch, a potem je wydać. Rzecz dotyczy miasta Poznania. Owszem, sporo podróżuję, ale chciałbym, żeby moje nowe fotografie opowiadały o Poznaniu.

– Dlaczego Poznań?

– Bo ciągle nie znajduję spójnej fotograficznej opowieści o moim rodzinnym mieście. Jestem to winien Poznaniowi, mieszkam tu już 43 lata. Chciałbym „opowiadać” współczesnym językiem, czyli inaczej niż robiono to do tej pory.

– Współczesnym, czyli jakim?

– Takim, który trafi do młodych ludzi. Oni należą do pokolenia MTV, wychowani są w kulturze obrazkowej. Ich język komunikacji jest zupełnie obcy mojemu pokoleniu, Chciałbym go poznać i opanować. Urodziłem się



w świecie czarno-białym, przez wiele lat żyłem w Polsce realnego komunizmu, otaczała mnie szarobura rzeczywistość, więc byłem poniekąd zaprogramowany na negatyw czarno-biały. Dziś dostrzegam wokół siebie świat kolorowy i on mnie zachwyca.

– Czy to jest dla Ciebie odkrywanie fotografii na nowo, poczucie nowej przygody?

– To dla mnie nowe doświadczenie. To jest tak, jakbyś próbował porozumieć się językiem, którego dopiero co się nauczyłeś. Nie jest to łatwe. Zaczynasz właściwie od początku. Odnosząc się do twojej przestrzeni, to tak, jakbyś nagle, po 20 latach uprawiania tradycyjnej prozy narracyjnej, chciał przejść do współczesnej, awangardowej poezji. Z marszu tego zrobić się nie da.

– Doświadczenia wyniesione z fotografii czarno-białej zawsze już będą ci towarzyszyły, także na tych nowych ścieżkach, bo przecież nie wyzbędziesz się dbałości o kadr i wrażliwości na właściwy moment. Ale idąc z aparatem cyfrowym do miasta masz już nie 36 klatek, ale 1500 możliwości.

– Z myślą o warsztatach fotograficznych, aby nauczyć początkujących fotografów szacunku dla kadru, kupiłem pudełko starych kart pamięci o bardzo małej pojemności, na których pomieścić można zaledwie kilkanaście zdjęć. To skutecznie ogranicza, pobudza świadomość.

– Oglądając kolorowe zdjęcia na twoim blogu miałem w tym zwykłą przyjemność estetyczną. Poza tym odniosłem wrażenie, że we wszystkich twoich zdjęciach, także tych „mniejszej wagi”, wszystko jest na swoim miejscu.

– Dzieje się tak pewnie dlatego, że nie potrafię już

inaczej. Ta dbałość o kadr jest już we mnie. Dlatego jakkolwiek dasz mi aparat do ręki, łącznie z telefonem komórkowym, to zrobię nim poprawne zdjęcie. Ty, pisząc wiersz, możesz do tego użyć ołówka lub komputera, ale to nie wpłynie na jakość twojego utworu. Podobnie jest z fotografią.

– Wracam do twojego bloga, bo znalazłem tam wiele interesujących mnie spraw. A zatem, przykład pierwszy z brzegu. Rejestrujesz żywym tekstem własne przemyślenia na temat swojego aktualnego stanu ducha i miejsca w kosmosie fotografii. Raz jesteś z czegoś zadowolony, innym razem powątpiewasz w to samo.

– Zgadza się, bywam niekonsekwentny, ale uważam ten stan rzeczy za zaletę, ponieważ ciągle poszukuję nowego punktu zaczepienia dla własnych przemyśleń i pomysłów.

– Czy jest coś w świecie współczesnej fotografii, zwłaszcza tej kolorowej, co Cię zachwyca na miarę dawnych klasyków?

– Ostatnio natchnieniem jest dla mnie Saul Leiter i jego album „Early Color”. Urodzony w 1923 roku fotograf amerykański, który fotografował Nowy Jork w latach 40. i 50. XX wieku. Robił to niezwykle współcześnie. To dla mnie odkrycie, jeżeli chodzi o fotografowanie ulicy w kolorze, na dodatek tak dynamicznym kadrem. To połączenie klasyki z kolorem, fotografowane jednak z większym pazurem, fascynująca synteza przeszłości z przyszłością.

– Chciałbyś mieć możliwość promowania i wystawiania we własnej galerii nowych nazwisk, ludzi młodych, fotografów, którzy reprezentują nowe nurty?



– To jest moje prawdziwe marzenie. Chciałbym stworzyć artystyczną przestrzeń, galerię, która pokazywałaby prace młodych, zdolnych ludzi. Takie, otwarte dla wszystkich, miejsce spotkań artystów i widzów, gdzie wystawa żyłaby dłużej niż jeden dzień, a nie tylko podczas wernisażu, jak to ma miejsce dziś. A poza tym, w tej żyjącej, ciągle otwartej galerii młodzi mogliby się uczyć, także tego, jak sobie radzić w sferze finansów, jak pokonywać trudne do przebycia przeszkody organizacyjne. A jest to o tyle ważne, gdyż ich głównym problemem jest dzisiaj finansowanie przedsięwzięć. Dla nich każdy projekt, zakup filmu, każda seria odbitek na wystawę to poważny problem ekonomiczny. Sfera materialna jest przeszkodą, z którą sobie nie radzą, albo radzą sobie z nią słabo. Brakuje mecenasów, którzy wyciągnęliby rękę do utalentowanych, młodych ludzi, dobrze wykształconych i świadomych swojej twórczości artystów.

– A poznański oddział ZPAF-u nie mógłby czegoś w tej materii zrobić? Rozpocząć jakieś wymiany wystaw i ludzi z otwartej dla nas przecież Unii Europejskiej?

– Przede wszystkim należy odrzucić stereotyp, że ZPAF to środowisko starszych panów, odwrócone plecami do teraźniejszości. Moje krótkie doświadczenie podpowiada mi, że są tam ludzie otwarci, gotowi na zmiany. Do nich też trzeba wyciągnąć rękę. Obca mi jest postawa stojącego z boku i narzekającego malkontenta. Kto jeśli nie „my” może cokolwiek zmienić?

– Wszystko to, o czym tu mówimy, powoli układa się w spójny obraz człowieka, dla którego fotografia i sprawy okołofotograficzne to jedna wielka pasja. Jesteś, jak sądzę, w tej pasji dobrze poukładany, co też dobrze rokuje na przyszłość dla twoich projektów fotograficznych i plenerowych. A gdybyśmy

pozwolili sobie teraz na odrobinę szaleństwa, to co powinno się zdarzyć? Pytam o twoje marzenia.

– Od lat marzę by fotografować Tokio. Kup mi więc proszę bilet do Japonii, a naszą rozmowę dokończymy za miesiąc. Przynajmniej tyle czasu chciałbym spędzić w tym najbardziej miejskim z miast.

– Pawle, co by się musiało zdarzyć, żebyś stracił chęć na fotografię?

– Życie musiałyby mnie dotknąć na tyle mocno i pokiereszować, żebym utracił swoją wrażliwość i pełen entuzjazmu stosunek do świata.

– A ze spraw dobrych co mogłoby ci się przydarzyć?

– Wygrana w Lotto dałaby mi większą niezależność, która pozwoliłaby mi realizować moje projekty bez jakichkolwiek ograniczeń materialnych i czasowych. Muszę tylko choć raz zagrać.

– Amen.

© K. Sz.

© P. K.



Paweł Kosicki

Rocznik 1966. Urodził się i mieszka w Poznaniu. Członek Związku Polskich Artystów Fotografików. Absolwent Warszawskiej Szkoły Filmowej. Uczestnik warsztatów z fotografiami agencji Magnum. Organizator licznych plenerów i warsztatów fotograficznych. Z zamiłowania podróżnik, miłośnik jazzu oraz X muzy.



Paweł Kosicki
pawel@pawelkosicki.com
www.pawelkosicki.com
tel. +48 605 857 021

Wybrane nagrody:

2004

III nagroda w przeglądzie fotografii „Człowiek obok mnie” w Białymstoku.

2005

I nagroda w konkursie „Ekologia w obiektywie” w Warszawie.

II nagroda w konkursie ZPFP „Cudowna natura wody” w Szczecinie.

2007

I nagroda w ogólnopolskim konkursie „Portret” w Trzciance.

III nagroda w ogólnopolskim biennale „Kochać człowieka” w Oświęcimiu.

I nagroda w ogólnopolskim konkursie „Portret” w Kole.

Wybrane wystawy:

2004

Wystawa zbiorowa „Islandia” Galeria Fotografii w Krakowie.

2005

Wystawa indywidualna - Czerwony Fortepian w Poznaniu.

Wystawa zbiorowa „Islandia” na Ogólnopolskim Festiwalu Fotografii Krajobrazowej i Przyrodniczej Krynica 2005.

2007

Wystawa indywidualna „Zatrzymać chwilę” w Puerto Culture w Gdańsku.

2008

Wystawa zbiorowa Warszawskiej Szkoły Filmowej na IV Warszawskim Festiwalu Fotografii Artystycznej.